

Przyszłość chrześcijańskiej Polski jest teraz

Tomasz Rowiński

Latem 2013 roku miało miejsce spotkanie zorganizowane przez abp. Marka Jędraszewskiego i Grzegorza Górnego, którego celem było naszkicowanie propozycji obchodów 1050 rocznicy chrztu Polski. Debatowaliśmy w siedzibie łódzkich arcybiskupów tuż koło katedry. To konkretne spotkanie dotyczyło wkładu intelektualnego w tak ważne – jak się wtedy wydawało – wydarzenie. Obecni byli na nim przedstawiciele nie tylko środowiska „Christianitas”, ale także „Teologii Politycznej”, „Pressji”, a nade wszystko Narodowego Centrum Kultury jako reprezentacja instytucji państwowych. Gdy rekonstruuje nadzieje, jakie nam wtedy towarzyszyły, to widzę, że zawierały się one z jednej strony w hasła nowych obchodów milenium, które, w przeciwieństwie do wydarzeń z roku 1966, mogły być obchodzone w wolnym kraju, a z drugiej w rodzącym się projekcie ożywienia polskiego i katolickiego myślenia, towarzyszącego pracy duszpasterskiej i ją wspierającego. Z tego brała się choćby idea milenijnej serii książkowej czy – oczywiście trudna do realizacji w warunkach polskiego Kościoła – propozycja Piotra Kaznowskiego, by zamiast przeznaczać duże środki na projekty masowych spotkań, wesprzeć liturgiczne życie parafialne. Chodziło o systematyczne zatrudnianie w kościołach kantorów przywracających i ożywiających tradycyjne formy pobożności oraz śpiewu religijnego, będące przez wieki środkiem gruntowania wiary i nawracania dusz. Z pewną ostrożnością oczekiwaliśmy, że Kościół będzie zmierzał to długotrwałego pogłębienia życia w Polsce w nurcie integralnego odczytania znaczenia chrztu.

Polska jazda bez trzymanki

Jesienią tego samego roku w artykule *Anamneza, czyli duszpasterstwo pamięci. Nowe Milenium 2016*¹, napisanym na prośbę redaktora naczelnego „Teologii Politycznej Co Miesiąc”, Mateusza Matyszkowicza, obszerniej wyrażałem swoje przekonanie o zasadniczym znaczeniu dobrego przygotowania obchodów roku 2016, które uważałem za szansę ożywienia życia religijnego w Polsce, ale i życia polskiego – bez wiary katolickiej ulegającego dezintegracji.

¹ Artykuł ten przedrukowujemy w tym numerze „Christianitas”.

Jeśli nowe obchody Milenium Chrztu Polski, czyli ich 1050 rocznica przypadająca w roku 2016, mają odegrać rolę, jaka może stać się ich udziałem, potrzebne jest obudzenie przekonania, że szczególne znaczenie w dziejach Polski ma pamięć, która jest dla nas instytucją nie tylko doczesną, ale i nadprzyrodzoną. Bez duszpasterstwa pamięci utracimy naszą narodową formę, przestaniemy być Polakami. A nowej formy nie możemy się spodziewać, ponieważ nie ma dziś też nowych źródeł życia narodowego. Zresztą dla narodu chrześcijańskiego źródło jest zawsze jedno. Ta odmienna forma, jeśli dziś by się pojawiła, zrobiłaby z nas kogoś innego – na pewno nie Polaków, którymi jesteśmy i byliśmy, a także którymi wciąż mamy szansę pozostać. Forma jest bowiem sprawą zasadniczą.

Pisząc ten tekst, wciąż miałem w pamięci jeszcze żywy obraz tego, jak rozwiewały się oczekiwania „nawrócenia narodowego” związane ze śmiercią Jana Pawła II w 2005 roku czy katastrofą smoleńską. Oba te wydarzenia niewątpliwie mocniej odsłaniały skrytą nieraz pod kurzem codzienności formę polskiego życia, które gdy tylko coś je głęboko dotyka, zaraz spieszy na Mszę, chwyta za różaniec i wychodzi na ulice, wyrażając swoje publiczne zaangażowanie w sposób religijny, katolicki. Czegoś jednak zdecydowanie wtedy brakowało. Czegoś, co byłoby czymś więcej niż tylko dopalaniem się starych węgli narodowego żaru, stanowiącego o wielkości naszego narodu przez wieki. Bez zbędnej jednak idealizacji można dziś powiedzieć, że wielkość ta należy do przeszłości.

Siły odśrodkowe były pewnego rodzaju stałą w polskich dziejach, jednak nie zawsze, jak dziś, przeważały. Potęga wewnętrzna,

zewnętrzna (nie zawsze polityczna, lecz na pewno kulturalna), ale i wolność, silne związki z Rzymem jako znak polityczny, historyczny, a także nadprzyrodzony. Państwo, które nie władało sumieniami, ale podkreślało katolicki charakter na każdym kroku, nie tylko w zewnętrznej etyce, ale i przez życie swoich obywateli. Było to możliwe pomimo tego, że w Rzeczypospolitej zawsze żyli ludzie rozmaitych narodów i wyznań, a różne konflikty stawały na porządku dziennym. Współczesna Polska, praktycznie jednolita narodowościowo, pęknięta jest być może bardziej niż kiedykolwiek. Pęknięcie to idzie pomiędzy narodem i państwem rozdzielanymi przez partykularyzmy nowoczesnych ideologii strojących się w szaty „polskiego życia”, w rzeczywistości zaś oddalających naród i państwo od siebie, a przez to destabilizujących polskość. Dodatkowym problemem jest to, że Kościół – to *interregnum* na trudne czasy – nie scala tego, co zniszczone. Czy mógłby to robić? Nie wiemy, ponieważ można odnieść wrażenie, że nie próbuje, pokładając nadzieję w ogniu emocji społecznych – te jednak służą głównie ideologiom, ponieważ pozwalają zasłonić ich fałsz. Co więcej, sam Rzym jak gdyby zerwał więzy z państwami katolickich narodów. W 2010 roku pisałem w szkicu *Postkomunizm, neokomunizm i mity III RP*²:

² Ukazał się on w „Christianitas”, nr 45-46/2011.

³ Ów cytat w cytacie pochodzi z tekstu R. Matyi, *Polityczna melancholia przed żałobą*, „Christianitas”, nr 44/2010.

Podczas kolejnych zrywów wydaje nam się, że zmieniamy wszystko, a w rzeczywistości nie zmieniamy prawie nic, ponieważ w ogóle nie interesujemy się zasadami, które ożywiają naszą „nieznośnie długą terażniejszość”³. Można mieć tylko nadzieję, że śmierć Lecha Kaczyńskiego i wydarzenia ostatnich miesięcy pozwolą doświadczyć Polakom znużenia mitem społecznym i że nie popchnie ich to w bierność, ale pozwoli porzucić różnorakie złudzenia. To, co jest konieczne, to codzienna wytężona praca polityczna (zmienianie rzeczywistości tam, gdzie to możliwe), informacyjna (komunikowanie o sytuacji politycznej Polski i formułowanie postulatów) i wreszcie ideowa.

Nie wydaje się, by formułowane przeze mnie nadzieje spełniły się w szerszym zakresie w kolejnych latach. Co więcej, strategia unikania działania suwerennego, postrzeganego jako przeszkoda

w modernizowaniu kraju, stała się swoistą doktryną państwową⁴. Doktryną życia politycznego polskich rządów (gabinetów Tuska i Kopacz) stało się wręcz celowe odwracanie uwagi od zasad rządzących „nieznośnie długą” codziennością polityczną w Europie – organizujących je interesów czy wynikającego z tego miejsca Polski w aktualnej konstelacji geopolitycznej, kulturowej i cywilizacyjnej. To niezwykle ciekawe, że zasada rządów liberałów z Platformy Obywatelskiej „ożywiająca naszą nieznośnie długą teraźniejszość” ostatnich lat III RP przetrwała narodowe „mocne uderzenie”, jakim była katastrofa smoleńska. Przetrwała także pomniejsze wstrząsy związane z aferami na szczytach władzy. A przecież, przynajmniej w pewnej mierze, przyczyną i katastrofy, i pozostałych turbulencji stała się właśnie zasada beczynności rozumiana jako mające sprzyjać polskiemu rozwojowi poddanie się „przebiegowi wypadków”. Wszystko pod senioratem silniejszych państw kamuflowanym hasłami europejskiej solidarności. A przecież „przebieg wypadków” nie jest niczym innym, jak zespołem zdarzeń będących wynikiem stosowania własnych zasad przez rzeczywistych graczy politycznych naszego regionu. Jednak logika puszczania wolantu i zaufanie zaprogramowanemu za granicą autopilotowi przeniknęła do samej głębi – nawet tam, gdzie nie dało się zrzucić odpowiedzialności na kogoś innego – do procedur bezpieczeństwa ludzi zarządzających państwem.

Wentyle III RP

Można zatem sądzić, że wydarzenia, co do których żywiliśmy nadzieję, że staną się – przez swój formalnie polski, religijny i (w przypadku żałoby po katastrofie przynajmniej potencjalnie) katolicki charakter – iskrą przemiany naszych dziejów najnowszych, zadziałały w praktyce jedynie jako wentyl uwalniający społeczne emocje, zmieniający stan napięcia. Dzięki takim kulminacjom społecznych uczuć – jak czas odchodzenia św. Jana Pawła II i żałoby po jego śmierci, jak pielgrzymka Benedykta XVI w 2006 roku czy wstrząsające doświadczenie budzącej grozę śmierci pasażerów tupolewa 10 kwietnia 2010 roku – niezadowolone i wzrastająca frustracja z powodu barier, jakie napotykał w Polsce rozwój społeczny, nie stawały się impulsem, który pomógłby sformułować polityczne postulaty zmiany. Myśl, że tak się

⁴ Myśl tę wyrażał wielokrotnie w różnych wywiadach były minister spraw wewnętrznych w rządach PO Bartłomiej Sienkiewicz, a pierwotnie pojawiła się ona w artykule *Apologia*, „Przegląd Polityczny”, nr 127-128.

⁵ „Ludziom, odczuwającym dyskomfort i wyrzuty sumienia z powodu postawy PiS w sprawie konstytucji i innych kwestii, prezes Kaczyński, nasz pan Sytuacji, mówi już tylko: «Poprzyjcie mnie (bo przecież nie chcecie mieć tu Kwaśniewskiego)». Z jednej strony nie poskąpi religijno-patriotycznych emocji, z drugiej strony gotów jest udzielić prestiżu i wsparcia w inwestycjach – i tylko nigdy nie dopuścił do tego, aby choćby podstawowe postulaty cywilizacji życia – związane z prawem do życia i prawami rodziny – uzyskały pod jego rządami moc politycznego spełnienia. Starania o to piętnuje jako «fundamentalizm»”, P. Milcarek, *Co się dzieje w Polsce?*, „Christianitas” 33/2007, s. 8.

⁶ „Trzeba uczciwie powiedzieć, że pojmowanie

krzyża jako substytutu pomnika było obecne w wypowiedziach PiS-u od początku konfliktu: w oficjalnym oświadczeniu partii krzyż sprzed Pałacu Prezydenckiego definiowano już na początku sierpnia jako «pomnik ofiar» oraz «symbol żałoby i patriotycznego uniesienia», sens religijny ustawiając jako wątek poboczny”, P. Milcarek, *Kościół, prawica, demony*, „Christianitas” 45/46/2011, s. 64.

⁷ Temat „Całości” jest ważnym i wartym uwagi elementem rozważań P. Manenta w książce *Racja narodów. Refleksje na temat demokracji w Europie*, Elbląg 2008; szerzej odwoływałem się do tego problemu w recenzji książki w „Christianitas”, nr 44/2010, oraz w eseju *Polska opowieść. Rozważania o podmiotowej narracji Polaków w czasach pesymizmu* drukowanym w tym samym numerze. Drugi z tekstów ukazał się także w książce *Bękarty Dantego. Szkice*

działo, to tylko hipoteza, ale jest ona próbą odpowiedzi na pytanie, dlaczego pielgrzymki do Polski św. Jana Pawła II w roku 1979 czy 1991 miały charakter rzeczywistego zmagania o zintegrowanie polskości w jej narodowym i państwowym bycie, były wołaniem o kształt Polski. Dlaczego z kolei polska religijność w III RP nie stała się fundamentem silnej pozytywnej propozycji społecznej i politycznej? Propozycji przeciwstawiającej się skutecznie liberalnej uległości i utrwalaniu zdeintegrowanego (gospodarczo, politycznie, religijnie) modelu państwa. W przedziwny sposób religia została uwikłana w partykularyzmy polityczne traktujące ją jedynie jako żywioł, który można wykorzystać do bieżącej akcji modernizacyjnej i/lub tożsamościowej w znaczeniu organizacji i wzmożenia emocji życia publicznego⁵. Katolickość stała się jedynie środkiem dla innych celów⁶. Dla jednych włączenie Polski w chrześcijaństwo zachodnie okazało się tylko sposobem, by razem z europejskim politycznym centrum wkroczyć w epokę coraz bardziej fluktuujących praw człowieka, czyli czegoś, co bywa obecnie przeżywane jako „prawdziwe zachodnie wartości”. Dla innych stanowiło transport zupełnie innych wartości, takich jak patriotyzm, silniejsza władza, bezpieczeństwo – także symboliczne. Chrzest Polski i jego konsekwencje, prawdopodobnie nie przez wszystkich uczestników politycznych zmagani w sposób cyniczny, został wciągnięty w pogańską grę walki o władzę, pomiędzy upadkiem cywilizacji a rewanżem, między zuchwałością i obłąkaną twierdzą wypreparowanych tożsamości.

Postulaty cywilizacji chrześcijańskiej, do których należą naturalne, suwerenne cele narodowe, ale i rozwój społeczny, znalazły się na marginesie razem z orientującym je wymaganiem dbałości o Całość⁷ narodowego i państwowego bytu. Z perspektywy

wyznawanej wiary i interesu społecznego większość Polaków znalazła się na marginesie, choć nie rozpoznała tego braku reprezentacji. Dbałość o Całość obejmuje i sprawiedliwość społeczną, i wykluczenie segregacji ze względu na przeżywany okres życia. W tym sensie centrale polityczne III RP nieustannie bronią się przed stosowaniem zasad katolickich będących zadaną formą długiej terażniejszości Polski. Będących odpowiedzialnością wynikającą z powołania chrzcielnego, ale też konkretnego życia wobec rozkładowej dynamiki każdej ideologii.

Zmiana klimatu

Sytuacje wzmożenia społecznego w religijnej formie wytworzyły dysfunkcjonalne przekonanie będące elementem pejzażu III RP, że to właśnie „mocne uderzenia” religijnych uczuć, emocjonalne piki, stanowią o sile i istocie polskiego katolicyzmu, a także o charakterze jego związku z polskością⁸. Zapoznane zostało to, że po roku 1991, kiedy przegnano, piórami publicystów „Gazety Wyborczej”, św. Jana Pawła II z jego pomysłem na Polskę, sytuacja katolickiej formy życia polskiego się zmieniła, ponieważ klimat zmagania o ustrój polskiego państwa także się zmienił. I nie chodzi tu o rozważanie, czy miałby być demokratyczny, czy nie, ale o to, czy ma być liberalny, czy katolicki. Skończył się czas zwycięskich bitew prowadzonych przez świętego Papieża, a powinna się zacząć żmudna praca w „nieznośnie długiej terażniejszości” o odbudowywanie instytucji cywilizacji chrześcijańskiej. Ta odbudowa jednak w dużej mierze została porzucona – może poza wysiłkami takich ludzi prawicy katolickiej jak Marek Jurek, którzy – jeszcze w ramach Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego – zaczęli pracę nad ochroną ludzkiego życia od poczęcia. To być może najważniejszy fragment odbudowy, ale z pewnością nie jedyny. Jednak od 1991 roku wyznaczanie sobie przez Kościół celów bitewnych, masowych, tak jakby czas bitewnej mobilizacji jeszcze się nie skończył, w rzeczywistości miało i ma charakter sekularyzacyjny oraz jest jedynie odtwarzaniem przeszłości, nawet jeśli ubiera się te cele w szaty „nowej ewangelizacji”. Powtarza się dziś, że Bóg jest Bogiem niespodzianek – niezbyt to trafne, bo nazbyt przypomina on wtedy kapryśnego Boga woluntarystów, od praktycznych ateistów wyznających nowoczesność po wyznawców islamu. Jednak

*o zanikaniu i odradzaniu się
widzialnego chrześcijaństwa,*
Kraków 2015.

⁸ Ten przesąd III RP
w szlachecko-polityczny
kontusz przebierał
D. Karłowicz
w ciekawym artykule
Konfederaci z Soplicowa,
„Rzeczpospolita, Plus/
Minus”, 24 grudnia 2011.

⁹ Taki model chrześcijaństwa proponuje zupełnie wprost Andrzej Sionek, bliski współpracownik bp. Grzegorza Rysia, członek Sekretariatu ds. Nowej Ewangelizacji Archidiecezji Krakowskiej. Mówił o tym choćby w wywiadzie udzielonym „Tygodnikowi Powszechnemu” (*Reprezentacja Polski na ŚDM*, 18.07.2016), wskazując, że teologia, a zatem rozumowy namysł nad wiarą powinien podążać za doświadczeniem, tak jak miało to miejsce w czasach Chrystusa. Nie dostrzega jednak tego, że zrozumienie misji Pana Jezusa nie było możliwe bez tradycji Izraela. Podobnie i dziś rozpoznawanie obecności Ducha Świętego nie jest możliwe bez tego, co zdziałał on w przeszłości. Bóg bowiem sam sobie nie zaprzecza. Przyjęcie zasady, według której namysł będzie postępował jedynie za doświadczeniem, to nic innego, jak zgoda, by rozum szukał uzasadnienia dla każdej kondycji cywilizacyjnej, dla każdej pokusy porzucenia elementów Objawienia i bogactwa mądrości zebranej i oczyszczonej przez Kościół. Takie przedmiotowe traktowanie rozumu jest właśnie tym, czego oczekuje od niego świat, by był on jedynie sługą naszej woli. Chrześcijanie idący tą drogą stawiają się na oczekiwanej od nich pozycji irracjonalistycznej sekty, świadomie odsuwającej się od spraw publicznych i powszechnej odpowiedzialności.

dlaczego wobec tej powszechnej konstatacji powtarza się wciąż te same, idące spóźnionym krokiem za dniem dzisiejszym, metody duszpasterskie, metody publicznego reprezentowania naszego Pana? Metody wręcz przesłaniające Jego obecność przez skupienie na bezpośrednim społecznym, ale krótkotrwałym, sukcesie.

Dlaczego? Po pierwsze, ponieważ redukuje cele polskiej religijności w jej strukturze do okresowych transów oraz odrywa od tych elementów, które szczególnie wiążą ją z polskością, ale i katolickością – życia parafii, liturgii, sakramentów oraz wielu stycznych, w których kultura religijna organicznie zrośnięta jest z kulturą polską. Po drugie, nadaje Kościołowi „pozaświatowy” charakter wiążący się z zasygnalizowanym powyżej oderwaniem od spraw polskich – także spraw publicznych. Można powiedzieć, że wykożenia Kościoła. W imię zjednoczenia i solidarności ze światem zapoznaje jedno z podstawowych narzędzi powiązania ze światem – formy kultury, z którymi rzeczywiście jest zrośnięty. Skupienie na celach będących „mocnym uderzeniem” idzie w parze z silnie zaawansowaną obojętnością wobec „zasad ożywiających nieznośnie długą teraźniejszość”, a zatem i obojętnością względem konieczności ich przemiany. Obojętność ta oznacza tak naprawdę oddanie innym władzy nad sobą, nad urabianiem świata; oddanie władzy nad chrześcijańską Polską tym, którym jest ona obca lub którzy nawet widzą w niej piękny rodzinny klejnot, mający znaczenie praktyczne jedynie ze względów estetycznych, lecz nie pociągający za sobą żadnych zobowiązań⁹.

Ten rodzaj spirytualizmu, odcieleśnienia, obojętności wobec naturalnych celów wspólnot ludzkich i wreszcie irracjonalizmu prowadzi Kościół do skupiania się na sobie i porzucania własnych narzędzi – języka i logosu – mówienia i działania w świecie jako miejscu, gdzie mamy obowiązek odbudowywania sprawiedliwej cywilizacji. Ten rodzaj zamknięcia – deklarowanej apolityczności

chrześcijan – kończy się uległością wobec praktyki i słów ideologii – np. liberalnej, ale też poganiejącej prawicy, które stały się własnymi słowami polskiego państwa wykluczającymi fundamentalny komponent tworzącego go narodu. W konsekwencji katolicka Polska nie ma silnej katolickiej reprezentacji tam, gdzie kształtuje się współczesna mowa polska i o Polsce. A mowa ta stała się wobec katolicyzmu na rozmaity sposób opresyjna.

Dekompozycja elit katolickich

Trudno oczywiście odszukać i opisać cały obszerny zespół czynników, które doprowadziły do tego rodzaju dekompozycji i dysfunkcyjnej pozycji polskiej katolicyzmu. Także do przegranej bitwy w roku 1991. Z jednej strony można zastosować duży wektor wobec dziejów i wskazać na destrukcyjny społecznie wpływ zarówno okresu rozbiorowego naszych dziejów, potem niemieckiej okupacji w latach 1939–1945, wreszcie marazmu moralnego czasów PRL i ostatecznie obezwładniającego uroku liberalizmu III RP. To jednak ogólniki, każdy okres historyczny mieni się w swojej różnorodności i zapewne te blisko dwa stulecia życia narodowego – odcieleśnionego, częściowo przynajmniej bezpaństwowego – nie mogło zostać bez wpływu na proporcje rządzące percepcją polityczną, na rozumienie wagi komponentów pełnowartościowego życia narodowego, także na nasze trudności, by sobie z budowaniem państwa poradzić. Złożoność tych dziejów zmusza do pozostawienia ich całokształtu na boku i skłania do tego, by przyjrzeć się tylko pewnemu wycinkowi pejzażu w samym łonie polskiego katolicyzmu. Niewątpliwie – także poprzez to, że Kościół w czasach powojennych był swoistym *interregnum*, jedyną władzą w Polsce, która posiadała moralną legitymizację – szczególnie był też wpływ elit katolickich, katolickiej inteligencji, która starała się organizować „inny obieg” myśli i duchowości w niszowych mediach, jakie im powierzono. Biorąc pod uwagę nakłady takich pism jak „Tygodnik Powszechny”, „Znak” czy „Więź”, ich oddziaływanie było znacznie większe, niż można by oczekiwać. Pomijam tu środowiska „Paxu”, bo też ich koncesje polityczne szły znacznie dalej, a wiarygodność historyczna jest dziś nieporównywalnie mniejsza. Choć operowały one na innej częstotliwości, moglibyśmy zapewne i w tym środowisku

zauważyć podobne zaplecze ideowych nurtów, co u katolików otwartych.

Przemiany, jakim podlegały środowiska tzw. inteligencji katolickiej w czasach powojennych, mogą być przykładem tego, w jaki sposób dokonywała się „spirytualizacja” wiary w sercu samego Kościoła. Wydaje się, że ta niewielka rekonstrukcja ma szczególne znaczenie dlatego, że publicystyka, która ukazywała się we wspomnianych pismach, miała również przełożenie na osobiste poglądy znacznej części polskiego duchowieństwa, także biskupów. Dotyczyło to nade wszystko tych jednostek, które poczuwały się do przynależności do warstw inteligenckich, przez co niosły ze sobą także etos większego zaangażowania, a w konsekwencji okazywały się często bardziej wpływową częścią katolicyzmu w Polsce. Warto postawić proste pytanie – dlaczego część katolickich elit poparła radykalnie liberalny projekt III RP?¹⁰ Odpowiedź ogólna na poziomie historii idei będzie brzmiała następująco: W polskim Kościele ujawnił się kryzys zintegrowanego postrzegania nauczania Kościoła – szczególnie w obszarze jego społecznego zaangażowania. Paradoksalnym owocem odnowy intelektualnej europejskiego, a szczególnie francuskiego katolicyzmu pierwszej połowy XX wieku – duże znaczenie miała tu myśl Jacques’a Maritaina¹¹ – było przekonanie, że Kościół powinien zrezygnować ze swojego zaangażowania na rzecz państwa katolickiego ku akceptacji liberalnej demokracji, praw człowieka, mających być przenikniętymi wartościami chrześcijańskimi. Przez pewien czas można było mieć takie złudzenie, na przykład w latach 40. Za tym pierwszym krokiem nastąpiły jednak dalsze, ponieważ inni przedstawiciele nowego nurtu uznali – jak choćby Emmanuel Mounier – że liberalna demokracja nie jest wcale jedynym rozwiązaniem dostępnym chrześcijaninowi jako wolna opcja; może on być także socjalistą. Zupełnie wprost to przekonanie powtarzał Tadeusz Mazowiecki w tekście otwierającym pierwszy numer miesięcznika „Więź”. Roman Graczyk, wieloletni publicysta „Tygodnika Powszechnego” i „Gazety Wyborczej”, autor książki „*Tygodnik Powszechny*” a SB, także relacjonował stany ducha swoich starszych kolegów w latach PRL – „głosili się w tym czasie kimś na kształt katolickich socjalistów, autentycznie wierząc w wyższość tego wzorca”¹². Wzorca, którego jednak nie

¹⁰ Znacznie szerzej ten problem przedstawiłem w artykule *Lewica chrześcijańska nie istnieje*, który ukazał się w mojej książce *Bękarty Dantego*. Poszerzona wersja tego tekstu została opublikowana we „Frondzie LUX” nr 79/2016, pt. *Lewicowe ukąszenie. Czy tylko lewicowe?*

¹¹ Więcej o tym pisałem w eseju *Między „sensus catholicus” a „secular reason”*. *Katolickie potyczki z politycznością*, [w:] T. Rowiński, *Bękarty Dantego*; pierwodruk tekstu w kwartalniku „Fronda”, nr 62/2012, pt. *Katoliku, nie idź drogą sekularyzacji. Glossa do tekstu arcybiskupa Martineza*.

¹² R. Graczyk, *Cena przetrwania? „Tygodnik Powszechny” a SB*, Warszawa 2011, s. 35.

dało się pogodzić z nauczaniem społecznym Kościoła, tak jak nie da się pogodzić walki klas, społecznego darwinizmu, kultu własności czy materializmu. Z nauczaniem społecznym Kościoła z trudem można było pogodzić także praktykę polityczną, w jakiej brali udział posłowie koła sejmowego „Znak”, koncesjonowanego bytu politycznego w PRL. Zamiast państwa katolickiego w doktrynie „Znaku” funkcjonował „pozytywistyczny realizm” opracowywany przez Stanisława Stomę¹³, usprawiedliwiający zaangażowanie katolików w dyktaturę realnego socjalizmu. Wszystkie te dezintegracyjne tendencje rozlewały się zresztą szeroko w Kościele, a umocniły się jeszcze bardziej w praktyce posoborowej, szczególnie w latach 70., gdy stały się dojrzałym owocem wielu lat intelektualnych przemian i doświadczenia praktycznego. Dobrym ich podsumowaniem może być tytuł książki jednego z najbardziej wpływowych teologów „nowej teologii”, dominikanina Marie-Dominique’a Chenu, *La doctrine sociale de l’Eglise? Ça n’existe pas* (1979)¹⁴. Chenu potraktował naukę społeczną – a zatem i koncepcję katolickiego narodu i państwa – jedynie jako rodzaj ideologii¹⁵, a Kościół przecież powinien wszelkie ideologie odrzucać. Wniosek, jak się zdaje, słuszny, jednak paradoks takiego stanowiska polegał na tym, że teologowie odrzucali nauczanie Kościoła jako ideologię głównie po to, by świeccy działacze mogli „realistycznie” przyjmować i realizować porządek polityczny zgodny z ideologiami dominującymi we współczesnych państwach. Stan odrzucenia społecznej doktryny Kościoła przez ważną część elit katolickich przykrył nieco pontyfikat św. Jana Pawła II, który zręcznie wykorzystywał wspólne elementy nauczania Kościoła i doktryny o prawach człowieka dla walki z komunizmem. Jednak „katolicy otwarci” przez cały okres PRL podążali drogą naśladownictwa zewnętrznych form. Była to konsekwencja zlekceważenia *sensus catholicus* w zakresie spraw społecznych. W pewnym skrócie możemy powiedzieć, że najpierw porzucili katolicką postawę społecznikowską, charakterystyczną dla przedwojennego środowiska Lasek, dla socjalizmu, później zaś podążyli za frakcją rewizjonistyczną w PZPR, reprezentowaną choćby przez Adama Michnika, Jacka Kuronia oraz Karola Modzelewskiego, i dostosowywali się do zmian kształtujących profil ideowy tego środowiska. Ostatecznie razem z nimi przyjęli

¹³ Zob. S. Stomma, *Maksymalne i minimalne tendencje społeczne katolików w Polsce*, „Znak”, nr 3/1946. Znamienne, że wtedy jeszcze ten tekst nie mógł się ukazać na łamach „Tygodnika Powszechnego”, ponieważ redakcja miała inną linię w sprawach polityczno-społecznych.

¹⁴ Zob. S. Lanza, *Nauczanie społeczne a teologia społeczna. Aspekt kościelny, kulturalny i naukowy*, [w:] V. Possenti, *Rewolucja ducha. Doktryna społeczna Kościoła widziana oczyma kard. Karola Wojtyły*, Warszawa 2007, s. 117.

¹⁵ V. Possenti, dz. cyt., s. 15.

¹⁶ Jacek Woźniakowski w popielgrzymkowej dyskusji redakcyjnej na łamach „Znaku” wyraźnie gubi się w papieskim nauczaniu lub udaje, że nie wie, o co chodzi: „Papież mówi: «Postulat, aby do życia społecznego i państwowego w żaden sposób nie dopuszczać wymiaru świętości, jest postulatem ateizowania państwa». Jak się ujawnia ten postulat? I co znaczy «wymiar świętości w życiu społecznym», do którego mogą dopuszczać albo mu przeszkadzać zasady czy działania legislacyjne? Tu otwiera się pole do popisu dla teoretyków prawa. Postulowany bowiem «wymiar świętości w życiu społecznym i państwowym» łatwo może być wadliwie zinterpretowany jako swoisty werbalizm religijny (ujawniający się w pewnym stylu słownictwa czy uczestnictwa w ceremoniach

dość radykalnie liberalny projekt przebudowy państwa na niemal wszystkich jego poziomach. Projekt antyspołeczny, antykatolicki i z pewnością też antysocjalistyczny w takim sensie, że stawiał i Mazowieckiego, i Michnika – dawnych socjalistów – po stronie „klasy posiadającej”, po stronie europejskich elit władzy i korporacji, by użyć języka marksowskiego. Większość Polaków pozostała w grupie zdeklasowanych – rewolucja socjalistyczna cofnęła się do wcześniejszej fazy. Liberalne państwo okazało się bytem nie dla wszystkich. Cały ogrom niesprawiedliwości, jaki zaakceptowano w imię liberalnego projektu ideologicznego, został też przyjęty przez „katolików otwartych”, a politycznie przez znaczną część Kościoła. Kiedy w roku 1991 do Polski przyjechał Jan Paweł II – daleki przecież od forsowania postulatów państwa katolickiego, ale stanowczy w głoszeniu konieczności społecznego aplikowania etyki Dekalogu – okazało się, że mówi rzeczy zupełnie już niezrozumiałe i nieakceptowalne także dla wielu katolików¹⁶.

Warto zauważyć dynamikę, która dziś ożywia te środowiska. Starsze pokolenie – niekoniecznie chodzi tylko wiek, ale np. o przynależność redakcyjną („Znak”, „Tygodnik Powszechny”) – krytykuje dziś prawicę za to, co samo praktykowało przez lata, czyli układanie się z Kościołem. Co wskazuje na trwałość naśladowczego charakteru myślenia i działania, który został przyjęty przed laty. Należy się spodziewać dalszej radykalizacji analogicznej do radykalizacji sił liberalnych i lewicowych w Polsce. Równie ciekawe jest zaangażowanie młodszych pokoleń – możemy to obserwować w tekstach publicystycznych trzydziestolatków wywodzących się z kręgu warszawskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. Zauważalny powrót do korzeni socjalistycznych nie idzie w parze z refleksją, że „utrwalaczami liberalizmu” w Polsce byli ich intelektualni ojcowie, za to zachowują wspólnotę, w mimetycznej ze „starszymi”, radykalizacji postulatów obyczajowych, które próbują przenosić do wnętrza Kościoła. Chodzi o instytucjonalne

kościelnych). Inne sformułowanie Papieża: «Trzeba z życzliwością, dobrą wolą i delikatnością dopracować się form obecności tego, co święte w życiu społecznym i w państwowym». Co to znaczy? Takie sformułowanie niesie w sobie oczywiste zadanie do wypracowania. I dalej mówi Jan Paweł II: «Wielu katolików czułoby się nieswojo w państwie, z którego struktur wyrzucono by Boga». Co to znaczy «Bóg w strukturach państwowych»?», *Polska '91 w świetle nauczania papieża. Dyskusja*, „Znak”, nr 438/1991, s. 15.

usprawiedliwianie homoseksualizmu czy związków niesakramentalnych. Powoduje to ciekawe pytanie: na czym polega dziś ich „katolicka tożsamość”? Być może jest to po prostu tożsamość lewicowo-liberalna, akceptująca fakt, że w zadaniach emancypacyjno-klasowych przyszło jej pracować na odcinku kościelnym. Niezależnie od intencji tak przedstawia się ona obserwatorowi¹⁷.

Kościół, prawica, demony po sześciu latach

Dekompozycja elit katolickich to nie tylko kryzys inteligencji katolickiej rozumianej jako pewna wpływowa i historyczna formacja środowiskowa, to również wspomniane „pokolenie JP2”, za które można w pewnej mierze uznawać ludzi ukształtowanych w latach 90. i pierwszej dekadzie XX wieku przez Instytut Tertio Millennio, o tyle, o ile ulegają myśleniu według wzoru chadecckiego, czyli wykazują intelektualny konformizm wobec liberalnej demokracji, a także dużych centrali partyjnych. To one właśnie są jednymi z głównych zarządców emocji społecznych w Polsce, a szczególnie emocji katolików. Religijność w polskiej polityce jest walutą, która ma znaczenie, przede wszystkim jednak wtedy, gdy obsługuje polityczne cele.

W szerszej metaforze ujął to Paweł Milcarek już w pierwszych akapitach eseju *Kościół, prawica, demony*:

Chodzi tu jednak nie tylko o zwykłą dewaluację pojęć i gestów używanych na forum publicznym – a w związku z tym o ubolewanie nad tym „upadkiem obyczajów” – lecz o spostrzeżenia dalszego dziwnego zjawiska: im bardziej puste są pieniądze polskiego życia publicznego, tym bardziej to one same stają się przedmiotem zainteresowania – a nie rzeczy, dla których nabycia ta „waluta” jest potrzebna.

O co może chodzić? Katolickość w narracjach partii politycznych w Polsce jest przede wszystkim zręcznym poruszaniem specyficznych strun duszy polskiej, mających na celu pobudzenie i uwznioślenie emocji obudowujących zupełnie partykularne interesy. Na przykład chęć zdobycia władzy. Dobrze to było widać, gdy pojęcia z tradycji chrześcijańskiej, mające swoje określone

¹⁷ Zob. więcej: T. Rowiński, *Lewicowe ukłszenie. Czy tylko lewicowe?*, „Frona LUX”, nr 79/2016.

¹⁸ Jako przykład takiego dostosowania podał Paweł Milcarek w eseju *Kościół, prawica, demony pogrzeb* Izabeli Jarugi-Nowackiej, s. 34.

¹⁹ P. Milcarek, *Absencja, czyli nieskuteczność*, christianitas.org, 21.09.2011.

znaczenie, przesuwano semantycznie, by podporządkować je politycznej strategii. W taki sposób ofiary katastrofy smoleńskiej stały się „męczennikami”. Kościół nie zawsze przeciwstawiał się temu procesowi anglikanizacji beatyfikującemu *subito* wszystkie ofiary katastrofy, niezależnie od ich życiowego zaangażowania¹⁸. Kościelna polityka apolityczności, kolonizując coraz dalsze obszary życia, przyczyniała się do rozkładu integralności przekazu w sam Kościół, czyniąc z niego jedynie element legitymizacji kapryśnej woli politycznej. Zamiast przemiany – uległość. Przykład tego mieliśmy w roku 2011, gdy tygodnik „Niedziela” zakończył współpracę z Pawłem Milcarkiem będącym wtedy stałym felietonistą pisma. Redaktor naczelny „Christianitas” skrytykował¹⁹ wówczas władze PiS, które dopuściły do wysokiej absencji posłów swojej partii podczas głosowania nad społecznym projektem ustawy poprawiającej ochronę życia nienarodzonych. Z tego też powodu projekt upadł. Dlaczego akurat z tego powodu? Przy dość niespodziewanym poparciu projektu przez część posłów Platformy Obywatelskiej zaważył brak zaangażowania tych, którzy w swoich deklaracjach zawsze stawiają się jako bastion cywilizacji chrześcijańskiej w Polsce.

Paweł Milcarek pisał wtedy:

To, co stało się niedawno ze społecznym projektem ustawy o pełnej ochronie życia dzieci nienarodzonych, to kliniczny przypadek naszej katolickiej bezsilności. A raczej zgody na to, aby w polityce nasze postulaty cywilizacyjne ograniczały się do manifestacji dobrej woli niektórych polityków²⁰.

²⁰ Tamże.

Te mechanizmy działania central politycznych oraz Kościoła obecne były i wcześniej, i później jako stała dysfunkcja współczesnej polskośći. W roku 2005 PiS opublikował deklarację programową *Katolicka Polska w chrześcijańskiej Europie*, w której czytamy:

Jednym z najpoważniejszych wyzwań dzisiejszych czasów jest powszechne przyzwolenie w wielu krajach na dzieciobójstwo prenatalne (aborcję). Prawo i Sprawiedliwość zajmuje w tej sprawie jednoznaczne stanowisko. Bronimy

ustawodawstwa polskiego chroniącego życie ludzkie od chwili poczęcia aż do naturalnej śmierci²¹.

Jednak już dwa lata później dzięki zaordynowanej z centrali partyjnej obstrukcji udało się powstrzymać nowelizację konstytucji zaproponowaną przez Marka Jurka, mającą na celu umocnienie ochrony życia. Te działania PiS doprowadziły do rozbicia obozu prawicy. Waluta zobowiązań i katolickiej agendy okazała się walutą pustą. W roku 2013 te same osoby, które były zaangażowane w obstrukcję projektu zmiany konstytucji – jak choćby poseł Jadwiga Wiśniewska²² – współorganizowały Kongres Katolików „Stop ateizacji”²³. To świetny przykład wirtualnego posługiwania się wartościami, które nie pociągają za sobą realnego zaciągania zobowiązań. W roku 2016, w 1050 rocznicę chrztu Mieszka, propozycje ochrony życia, które wydają się oczywistością z perspektywy deklaracji w praktyce, już widać, że są dla PiS problemem, ponieważ w rzeczywistości nie mieszczą się w narodowo-moder-nizacyjnej koncepcji tej partii. Mówiło nam o tym także przemówienie Prezydenta Andrzeja Dudy, jak i logika sprawowania władzy, którą oglądamy od 2015 roku. Trzeba to wszystko powiedzieć, nie umniejszając niewątpliwej chęci – często pozytywnie skutecznej – rządu Beaty Szydło do przełamania liberalnej logiki uległości wobec „autopilota”. Jedną z konsekwencji rzeczywistego porzucenia katolicyzmu jako konstytucji duszy polskiej i fundamentu polskiej suwerenności jest także pożegnanie z roztropnością. Roztropność zawsze wynika z tradycji/racjonalności kształtującej się w narodzie przez wieki. Można porzucać „autopilota” po prostu na złość politycznym przeciwnikom lub, co jeszcze bardziej prawdopodobne, tylko o tym porzucaniu opowiadać – tak jak to ma miejsce w przypadku „wspierania wartości chrześcijańskich”.

Rok 2013 i rok 2016

Spotkanie, które odbyło się w Łodzi, zdarzyło się z oczekiwaniem „mocnego uderzenia”, jakim miał być rok 2016, uderzenia, które miało odnowić budowlę cywilizacji chrześcijańskiej w Polsce, scalić naród i państwo. Fakt, że spotkanie inicjujące nastąpiło trzy lata przed „godziną zero”, wskazywał na istnienie przeczucia, że

²¹ *Katolicka Polska w chrześcijańskiej Europie*, Warszawa 2005, s. 18.

²² Pisałem o tym w tekście *Polityka zamiast ewangelizacji*, „Rzeczpospolita”, 19.06.2013.

²³ Stronę informującą o wydarzeniu wciąż można znaleźć w Internecie: <http://www.jasnagora.com/wydarzenie-8007>.

²⁴ Zob. T. Rowiński,
Jezus na Stadionie.
Religijność stadionowa,
 „Rzeczpospolita”,
 7.07.2013.
²⁵ „Rzecz ciekawa,
 żadna z tych uroczystych
 wypowiedzi hierarchów
 [po katastrofie smoleńskiej]
 nie okazała się na tyle
 mocna czy nośna, aby
 uformować wyobraźnię
 społeczną do integralnie
 chrześcijańskiego
 przemyslenia Katastrofy.
 Mimo swoich ważnych
 treści wypowiedzi te
 usytuowały się na poziomie
 nie tyle nauki, ile ukojenia.
 Biskupi pozwolili, aby
 słuchano ich bardziej jak
 kapłanów obsługujących
 ból narodowy niż jak
 nauczycieli i przewodników
 narodu”, P. Milcarek,
Kościół, prawica, demony,
„Christianitas” 45/46/2011,
 s. 33.

„mocne uderzenie” nie wystarczy. Przeczucie to podpowiadało o konieczności właśnie konkretnej pracy nad „zasadami ożywiającyymi naszą nużącą terażniejszość”, ponieważ inaczej nie uda się zniwelować dystansu pomiędzy narodem i państwem. Dystans ten jest jednym z największych problemów najnowszych dziejów polskich i źródłem erozji polskiej formy. W tym przeczuciu musiało tkwić ziarno przekonania, że istniejący dystans jest szkołą złej formacji dla samych Polaków, uczy nas bowiem jakiegoś nieprawdziwego życia w niszach partykularnych, nieraz fantazyjnych tożsamości politycznych lub niszy prywatności. Warto jeszcze dodać, że dobrze zauważalna była wtedy w Łodzi trudność ze znalezieniem języka, który potrafiłby sensownie opowiedzieć o znaczeniu dziejowym, ale i obecnym, chrztu Polski, o nierozzerwalnym związku pomiędzy Chrystusem i Polską. Potrzeba bowiem języka, który nie niwecząc tego związku, strzepnie z naszej szaty pył narodowego mesjanizmu. Bez odwagi języka teologicznego, bez wypowiedzenia, jakie konkretne sprawy w naszym życiu publicznym wymagają zmiany, by odbudowa cywilizacji chrześcijańskiej miała rzeczywiście miejsce, pozostajemy pomiędzy dwiema dysfunkcjami – indywidualistycznym ujęciem sakramentu a wielkimi narracjami, które jednak w praktyce ograniczają się do werbalnej „obrony wartości”, a jednocześnie otwierania w duchu liberalnym drzwi partii rozkładu.

Dziesięciolecia rozkładowej pracy chrześcijańskich demokratów i centroprawicy, anglikanizacja Kościoła jako milczącej służki planów politycznych, ale i wycofanie się części samego Kościoła na pozycje religijności stadionowej²⁴ przynoszą efekty. Optymizm spotkania w domu arcybiskupów łódzkich okazał się złudzeniem. Przekonanie, że polskie państwo razem z Kościołem podejmie dzieło integracji narodu i instytucji życia narodowego, spaliło na panewce. Rząd Platformy Obywatelskiej nie był zdeterminowany, by sprawę konsekwentnie wspierać, a Kościół, gdy pozostał na placu sam, okazał się słaby i bezradny, pozbawiony nawet narzędzi intelektualnych, by stać się w tym czasie wyraźnym głosem. Zresztą nie pierwszy raz – podobnie stało się po katastrofie w Smoleńsku²⁵. W tej bezradności wołał porzucić pełną religijnej i politycznej powagi sprawę obchodów nowego milenium na rzecz „mocnego uderzenia”, czyli Światowych Dni Młodzieży w wakacje 2016 roku.

Trudno tę decyzję przeczytać inaczej niż jako ratunkową ucieczkę wizerunkową, ale i wynik wcześniejszego braku pomysłu na to, jak przeprowadzić rzeczywistą anamnezę dziejów i powołania Polski. Trudno, by ŚDM miały dla Polaków wymiar uniwersalny i znaczący – są skierowane do określonej grupy wiekowej, do pewnego typu religijności („katolicki Woodstock”), a także pozostają w nurcie przynajmniej dwóch negatywnych tendencji: oddalania się życia polskiego – w sensie jego publicznych form – od życia katolickiego, ale też oddalania się życia pobożnego od jego trwałych form, od codziennego życia parafii, które jest jego objawem realnym, powiązaniem z ziemią jako miejscem zamieszkania i sakramentem w swoim liturgicznym futerale, jako obecnością Boga pośród ludu powołanego do chrześcijańskiego dziedzictwa i świadectwa. W tym sensie przejście od propozycji pracy nad formacją dusz poprzez stałość form do propozycji „mocnego uderzenia” jest wirtualizacją religii, jej odcieleśnieniem i zmniejszeniem jej realnego wpływu na nasze życie, na budowanie instytucji cywilizacji chrześcijańskiej tu, w kraju Mieszka. Większość Polaków nie będzie uczestniczyć w Światowych Dniach Młodzieży, niewielka część przyjmie pielgrzymów – można zapytać, jaki z tego wyniknie pożytek. Jakiś odsetek wirtualnie obejrzy wydarzenie – porównywalne w strukturze przekazu z festiwalem, a przecież *medium is a message* – w telewizji lub Internecie, reszta tylko o nim będzie słyszała. Życiodajna siła rytuału zawarta w zwykłym przeżywaniu roku liturgicznego będzie coraz szczelniej oddzielona od tego, co we wspólnej mowie coraz bardziej uważane jest za religijność. Na jesieni dym się rozwieje i Kościół w Polsce powróci do swojej sytuacji trudnego do określenia – na poziomie świadomości – celu istnienia. Życie w ciągłym wzmożeniu festiwalowych przygotowań nie jest bowiem jego życiem rzeczywistym.

Przebudzenie z drzemki

Oczywiście, nawet w 2013 roku było już na wszystko za późno, a i propozycja Grzegorza Górnego oraz abp. Marka Jędraszewskiego miała charakter elitarny. Jednak ze wszystkich słabości tamtych okoliczności chęć bardziej długofalowego oddziaływania na elity był najsensowniejszy w perspektywie ubóstwa możliwości. A jednak chodziłoby o długofalowość integrującą Polaków

²⁶ Logikę „kamieni milowych” jako czegoś szerszego niż tylko „punkty” czy „mocne uderzenia” w historii przyjął P. Milcarek w książce *Polska chrześcijańska. Kamienie milowe*, Kraków 2016.

²⁷ O kryzysie kultury przekładającym się na konieczność takiej fundamentalnej pracy pisałem w artykule opublikowanym w „Christianitas” nr 62/2015, pt. *Koniec karnawału*; zob. P. Kaznowski, *Między duchem a literą: przypadek katolickiego myślenia o polityczności*, „Christianitas”, nr 45-46/2011: „Prawdziwa odnowa kultu Bożego, skierowanej *versus* *Dominum*, przypominając, że zbawienie jest tylko u Pana, pomoże nam odróżnić zachowane w nowoczesności pozostałości cywilizacji chrześcijańskiej od zabójczych idoli”.

po prostu z życiem Kościoła! To „spóźnienie” w przypadku tak ważnej rocznicy, to przygotowywanie wszystkiego na ostatnią chwilę – tak jakby przyszło po ocknięciu się z drzemki – jest moim zdaniem znakiem, z jak wielkim trudem można o Polakach powiedzieć dziś, że są wciąż narodem historycznym. Nie chodzi jednak tylko o długotrwałość – ale o suwerenność swoich tradycji, postrzeganie ich jako ważne kamienie milowe²⁶. A w przypadku elit świadomości „zasad rządzących codziennością” – zasad narodu, działającego w pewnym dystansie państwa, Kościoła – świadomości napięć, różnic czy koniecznych do uleczenia ran. Świadomości takiej nauczają właśnie rzeczywista forma codzienności. W polskim przypadku winien to być rytm roku liturgicznego, wspomnień polskich świętych przeplatanych odniesieniami do dziejów świeckich. Ta katolicka nić się jednak rwie – porwała się w samym Kościele po II Soborze Watykańskim, kiedy zamknęła się w pewnej mierze katolicka droga integralnego zaangażowania publicznego (w liturgii i działalności społecznej), ale i zerwała się, jak widać, w życiu polskim. Nie odbudował jej nawet Jan Paweł II, który choć sam nie podtrzymywał zbyt intensywnie przekazu o państwie katolickim, to jednak podczas pielgrzymki w 1991 roku dał Polakom znacznie więcej niż jedynie niezwykle silny impuls zaangażowania etycznego. Jednak jego „pokoleniu” w dużej mierze nie udało się uzyskać zdolności suwerennego angażowania się w politykę. Niewątpliwie jednym z powodów była obecna w całym Kościele dominacja praktyki chadeckiej zdystansowanej wobec tworzenia zorganizowanej opinii katolickiej na poziomie realnej polityki. Przyczynił się też do tego zapewne znaczny wpływ, jaki na młode elity katolickie wywarły książki katolickich liberałów pokroju Michaela Novaka czy na polskim gruncie o. Macieja Zięby. Autorzy ci na swój sposób próbowali dokonywać syntezy katolicyzmu i liberalizmu, wychodząc jednak ze swoimi propozycjami z zupełnie innych pozycji biograficznych niż „katolicy otwarci”. Tym bardziej propozycja Piotra Kaznowskiego postawiona na spotkaniu w 2013 roku była trzeźwą odpowiedzią na sytuację naszego czasu, którą można określić jako potrzebę budowania od samych podstaw²⁷. Chodzi o to, by porzucić logikę wielkich wydarzeń, swoistych idoli, których nie da się w zintegrowany sposób przygotować i po

których trudno się spodziewać efektu umacniającego obecność *Logosu* w narodzie i państwie. Trzeba rozpocząć konsekwentną pracę nad odbudową życia katolickiego w Polsce, a to można zrobić w niemal każdym dowolnym momencie, ponieważ cele tej pracy są zanurzone w świecie nadprzyrodzonym, do którego prowadzi bogate i słabo wykorzystywane życie rytualne Kościoła. Razem z życiem Kościoła ożywa też życie narodowe, które wypełnia nadprzyrodzona nadzieja. I jest to pozytywna konkluzja, gdy patrzymy na pobożowisko „kolejnego przegranego powstania”²⁸.

Niestety, rzeczywiste obchody 1050 rocznicy chrztu Polski rozchodzą się w rozmaitość niepołączonych ze sobą wydarzeń, np. w ramach funduszy milenijnych wydaje się książki z pewnością bardzo ciekawe, ale trudno zrozumieć, w jaki sposób powiązane z obchodami Milenium 1050. Brak jest idei, ale co jeszcze gorsze – brak konkretnej pracy duszpasterskiej czy politycznej. Wszystko niknie w galaktyce rozbłysków rozmaitych „eventów”. Taki mamy obraz – Kościół ucieka w świat niepowagi, prywatną rzeczywistość zajmowania się sobą i zabawy we własnym gronie, państwo zaś rękami Narodowego Centrum Kultury odfajkowane temat kilkoma lepszymi czy gorszymi niszowymi produktami kulturalnego rzemiosła²⁹.

Rymkiewicz rekonstruktor

Brak właściwego zrozumienia i działania owocuje tym, że nawet środowiska, które ze względu na swoje nawyki kulturowe i polityczne cele zdają się sprzyjać Kościołowi, szukają uzasadnienia dla własnych działań już poza Kościołem lub też zaprzęgają Kościół jedynie jako rodzaj atrakcyjnej dla części grup społecznych otuliny swoich politycznych dążeń³⁰. Polska, która nie przedstawia się już jako Całość, zaczyna spotykać samozwańcych wieszczów, fałszywych proroków traktujących ją jedynie jako rezerwuar pozbawionych wspólnego sensu artefaktów. Ewentualnie jako strzępy historii, która nie istnieje już poza pamięcią konkretnych ludzi potrafiących zręcznie nadać jej formę – za pomocą politycznej niezłomności lub sprawnego pióra. Tak ukształtowane opowieści o polskości – zupełnie jawnie będące mieszaniną faktu i fikcji – jak ma to miejsce w książkach Jarosława Marka Rymkiewicza – nie są już jednak niczym więcej niż funkcją nie-

²⁸ Zob. P. Milcarek, *Kościół, prawica, demony*, „Christianitas”, nr 45-46/2011, s. 24.

²⁹ Przykłady można znaleźć na stronie internetowej www.966chrzest.pl, na której panuje stylistyczny miszmasz o trudnym do określenia przekazie. Sama strona nie wydaje się szczególnie atrakcyjna – nie wiadomo, czy jest prezentacją twórczości wspieranej przez Narodowe Centrum Kultury, czy też daje jakiś zintegrowany przekaz o chrześcijańskiej Polsce.

³⁰ O „dramacie patriotyzmu niereligijnego” więcej piszę w artykule *Anamneza, czyli duszpasterstwo pamięci*, drukowanym w tym numerze „Christianitas”.

³¹ P. Rojek, *Awangardowy konserwatyzm. Idea polska w późnej nowoczesności*, Kraków 2016, s. 116; chodzi o mój tekst *Polska jako potwór doktora Frankenstein. Uwagi o myśli politycznej Jarosława Marka Rymkiewicza* opublikowany w książce *Bękarty Dantego*, a także kwartalniku „Fronda”, nr 60/2011.

³² „Choć wiadomo, że prawica katolicka i tak w zdecydowanej większości spraw będzie wsparciem dla radykalnej centroprawicy, użytecznym, bo bezstronnie potwierdzającym ich racje w sporach z otwartym liberalizmem – mimo to wielu wyborców katolickich woli głosować bezpośrednio na radykalną centroprawicę zamiast na poszerzającą front na prawo od centrum prawicę katolicką. Dlaczego wyborcy ci, albo politycy o podobnych poglądach milcząco obecni w PiS, dobrowolnie wyrzekają się reprezentacji własnych

poglądów i własnej odpowiedzialności? Bo oznaczałoby to właśnie porzucenie rozkoszy konformizmu – głosowania tak jak «wszyscy», przeżywania tego, co «wszyscy», słuchania tego, co «wszyscy». Tu nie chodzi o żadną etykę odpowiedzialności, optymalizację efektu itp. Chodzi o zwyczajną potrzebę przeżywania kolektywnych emocji, które odpowiedzialność niepotrzebnie by studziła i problematyzowała», M. Jurek, *Wartości nienegocjowalne*, „Christianitas”, nr 45-46/2011.

stabilnych, w gruncie rzeczy, celów politycznych. Trudno jednak, by były one stabilne, skoro opowieści, z których korzystają, same siebie przedstawiają jako partykularne i fakultatywne, a zatem jedynie pozorujące narodową i religijną reprezentację, jak również wynikające z niej ograniczenie władzy. Rzeczywiste ograniczenie władzy przez tradycję jest zaś w rzeczywistości nadaniem jej racjonalności, a nie da się partycypować w racjonalności bez zapośredniczenia w tradycji. Przecież wierzymy równocześnie, że dziedzictwo niesione przez Kościół jest szczególnie Tradycją.

Uważną lekturą przeprowadzonej przeze mnie kiedyś krytyki pisarstwa Jarosława Marka Rymkiewicza może pochwalić się Paweł Rojek, który w swojej książce *Awangardowy konserwatyzm. Idea polska w późnej nowoczesności* zebrał szereg określeń, jakimi, jak sądzę, można opisać polską ideę w twórczości pisarza z Milanówka.

Rymkiewicz traktuje polską tradycję jak „rekwizytorium”, „worek z artefaktami, które możemy dowolnie wyjmować i sklejać”, i „kreuje romantyczną ideę potężnej Polski – rzekomo przeszłej, ale tak naprawdę nigdy nie istniejącej”, składając „bricolage idei”, „zlepek wspomnień i wyobrażeń” oraz „patchwork wyobrażeń i faktów”³¹.

Sam pisarz potwierdza moje intuicje – w chaosie zdarzeń miarą jest człowiek stwarzający historię poprzez fantazjowanie, a nie rozpoznanie jej i odkrywanie. Nowoczesna dekompozycja obrazu świata jest bowiem źródłem przerażenia, które oczekuje tylko władzy na tyle silnej, by dawała poczucie bezpieczeństwa, a czasem tylko rozkosz konformizmu³² opartą na tymczasowej tożsamości sprawiającej wrażenie dawności. Różnorodność ludzkich losów – nasze szczęście i tragedia – staje się dla Rymkiewicza

świadcstwem nieobecności Boga w historii, gdy tymczasem jest ona potwierdzeniem wolności ludzi i narodów wobec wezwania, jakie On przed nami stawia. Rymkiewicz jest ateistą, ponieważ nowoczesny obraz Boga, jaki mu się przedstawia w kulturze, jest co najwyżej kapryśnym demiurgiem, jak on sam, gdy zapisuje kolejne strony swoich powieści. Kapryśny Bóg, Bóg niespodzianek – niestabilny i niepewny, nieludzki Demiurg pociągający tylko ludzi niespełną rozumu...

Życie ma różne strony, różne wyglądy, różne „twarze” – stronę duchową i stronę materialną, stronę historyczną i stronę wieczności, stronę estetyczną i stronę etyczną, stronę rzeczywistości i stronę wyobrażeń. To, co jest życiem, wychodzi na jaw, staje się dla nas dostępne w swojej całości tylko w tych wszystkich wyglądach, tylko poprzez te wszystkie swoje strony. Wiemy o życiu właśnie tyle, na ile potrafimy jego różne strony rozpoznać i opisać – reszta jest złudzeniem³³.

³³ J. M. Rymkiewicz,
Kinderszenen, Warszawa
2008, s. 36.

Swoisty irracjonalizm i pragmatyzm polskiego państwa, ale i jego oddalenie od naszej formy wynika także z tego, że posługując się różnymi uzasadnieniami, każda władza w Polsce szuka sposobu, by zostawić w przedsionku gabinetów władzy swój katolicki strój. Dopóki tak będzie, rozpaczający nad katolicką Polską liberałowie będą odnosić rzeczywiste zwycięstwo, zawłaszczając przyszłość. Nie ma bowiem władzy, która nie przyjmuje jakiejś tradycji będącej *par excellence* racjonalnością jej działania – *explicite* czy *implicite*. Ci, którzy nad wszystko ukochali władzę, podążają drogą rozkładu, oddają nas w ręce innych lub w ręce skarłowaciałych i wtórnych form tożsamości powstających w umysłach fałszywych proroków. Ich atrakcyjność wynika z tego, że zapewniają poczucie dawności lub udziału w marszu postępu, a przez to pozwalają partycypować w rencie gniewu lub zadowolenia³⁴.

³⁴ P. Milcarek, *Kościół, prawica, demony*, s. 27.

Konfederacja nas nie uratuje

Dariusz Karłowicz w swoim, pod wieloma względami pasjonującym, artykule *Konfederaci z Soplicowa* w gruncie rzeczy próbuje dokonać – z właściwą sobie intelektualną gracją – rymkiewiczow-

skiej, co do zasady, próby afirmacji polskiej dysfunkcji, czyli bez odniesienia naszego życia do katolickiej treści i formy, bez perspektywy chrztu Mieszka. Można powiedzieć, że filozof ze środowiska „Teologii Politycznej” stara się „rozpoznać i opisać” „to, co jest życiem [...] w tych wszystkich wyglądach, [...] poprzez te wszystkie swoje strony”. Różnica doświadczeń między Rymkiewiczem a Karłowiczem wydaje się być na pierwszy rzut oka zasadnicza. Rymkiewicz jest myślicielem odcięty od tradycji chrześcijańskiej, rozkochanym w romantycznym rekonstruktywizmie i niemieckiej filozofii. Drugi to autor katolicki, znawca tradycji antycznej, propagator nauki o miłosierdziu Bożym zapisanej w dzienniczku św. Faustyny Kowalskiej. Jednak Dariusz Karłowicz, interpretator polskość, w części spraw idzie za pogańskim wzorem poety z Milanówka. Odwzorowuje także fałszywe przekonanie dominujące dziś w polskim Kościele, a które już opisałem, że w naszej formie życia liczy się „mocne uderzenie” i nic z tym nie da się zrobić. Co więcej, chęć zmiany oznacza próbę porzucenia polskość i jej wartości. Jest jednak w tym opisie polskiego świata – prostej afirmacji historii jako pulsowania – znak zagubienia znaczenia chrztu i niepowtarzalności historii.

Polską dysfunkcją nazywam przekonanie, że nasza forma objawia się jedynie w tym, co właśnie możemy zobaczyć w zamkniętym kręgu pulsujących społecznych emocji i reaktywnym wymachiwaniu szabelką. Właśnie tę dysfunkcję – utożsamienie polityki z okresowym wzmożeniem – Karłowicz próbuje uznać za naszą „naturę”, za naszą formę. Dziwi tak pojęta „natura” w tekście autora, który każdym napisanym słowem stara się wskazywać na wielkość i niezniszczalność dziedzictwa starożytnego. Jest to jednak znamienne, ponieważ kryzys polskość sięga bardzo głęboko. Katolickość – *implicite*, nawet wbrew deklaracjom – już nie określa tego, co nazwalibyśmy sferą publiczną: polityki, religii, historii – rzadko w niej szukamy zrozumienia czegoś, co jest ponad sens indywidualny, a poniżej sensu kosmicznego. Nie chodzi zresztą o dialektykę idealnego i widzialnego, ale o harmonię przyrodzonego z nadprzyrodzonym – w tym ukryła się i forma polskość. W codziennym urabianiu słowa *Logos* został wygnany poza religię i poza politykę, pozostały eksplozje uczuć. W tekście Karłowicza brak odniesienia do konieczności pracy nad

„zasadami poruszającymi naszą nużącą teraźniejszość”, a przecież – choć w sensie romantycznym – tego dotyczyło wezwanie do heroiczności, jakie ożywił św. Jan Paweł II.

Trzeba však powiedzieć, że w *Konfederatach z Soplicowa* przeplatają się wątki trafne i chybione. Prywatność przedstawiana przez Karłowicza jako ośrodek polskiego życia szczęśliwego można zinterpretować w sposób chrześcijański. W końcu w Liście do Tymoteusza czytamy:

Zalecam więc przede wszystkim, by prośby, modlitwy, wspólne błagania, dziękczynienia odprawiane były za wszystkich ludzi: za królów i za wszystkich sprawujących władze, abyśmy mogli prowadzić życie ciche i spokojne z całą pobożnością i godnością. Jest to bowiem rzecz dobra i miła w oczach Zbawiciela naszego, Boga, który pragnie, by wszyscy ludzie zostali zbawieni i doszli do poznania prawdy³⁵.

³⁵ 2 Tm 1-4.

Jednak dla ochrony tego świata, który Dariusz Karłowicz opisuje kategoriami dobrych uczuć i przyjemnych chwil, choć jest on przecież czasoprzestrzenią łaski wykraczającej daleko poza „przyjemne” i „nieprzyjemne”, nie wystarczy konfederacja. Sprawiedliwość wymaga stałej dbałości lub chociaż doprowadzania spraw do końca. Która konfederacja zmieniła coś naprawdę? Karłowicz przede wszystkim pokazuje zagrożenia przeciągającej się konfederacji, w czym trudno nie przyznać mu racji.

Konfederacja jako sposób życia staje się antyrepublikańska, ponieważ jej aktywność z konieczności koncentrować się musi na wzmacnianiu więzów wewnętrznych i pogłębianiu uzasadniających trwanie podziałów. Dlaczego to antyrepublikańskie? Nawet jeśli teza o zasadniczych różnicach w łonie polskiej wspólnoty jest prawdziwa (Rymkiewicza dwa narody), a sądzę, że jest pod wieloma względami trafna, to celem konserwatysty i republikanina jest budowanie jedności, a nie pogłębianie przepaści, której nie da się już przekroczyć (nie mówiąc o podwa-

żaniu autorytetu państwa). Permanentna czy przewlekła konfederacja zamiast pozostać zwołaną *ad hoc* grupą obywateli zebranych po to, aby rozwiązać bolesny problem całej wspólnoty – partykularyzuje się, stając się z czasem osobną wspólnotą, kulturą czy narodem³⁶.

³⁶ D. Karłowicz, tamże.

Równocześnie jednak trzeba zauważyć, że cała logika konfederacyjności jest dominacją duchowego lenistwa, od dawna pętającego polskość. Co więcej, konfederacja, raczej bezproduktywnie dla Całości, jest rozładowaniem nagromadzonej frustracji lub dysonansu społecznego, który łatwo wykorzystują polityczni oponenti. Szczęśliwa prywatność może być realizowana z oczami przymkniętymi na barbarzyństwo spraw publicznych, na krzywdę ojczyzny. Ani jedno, ani drugie nie musi psuć smak grzybów, o których wiele się mówi w przywoływanym przez Karłowicza *Panu Tadeuszu*. Konfederacje, choć mitotwórcze, są jednym z objawów diagnozowanej tutaj polskiej choroby.

Dariusz Karłowicz zauważa niebezpieczeństwa konfederacyjnego sposobu działania, gdy pisze o ich skłonności do degeneracji, sekciarstwa, stawiania się w opozycji do państwa.

Konfederacja, która miała służyć przywróceniu ładu – trwając zbyt długo, izoluje się od całości i zamiast spajać popsutą republikę, zaczyna, po pierwsze, kierować się przeciw państwu i, po drugie, utrwałać i pogłębiać podział wspólnoty politycznej. Insurekcyjny duch konfederacji (w ramach pewnej dynamiki uogólniania celów) przyczynia się do budowy klimatu delegitymizacji instytucji państwa (co dla republikanina stanowić musi horror). Przypominanie o różnicy między urzędami i instytucjami a (nie lubianymi czy pogardzanymi) osobami wywołuje rosnący opór konfederatów. Słuszne często emocje przenoszone są z osób na instytucje niepodległego państwa. Złe zaczyna być państwo, którym władają przeciwnicy, a zdrajcami ci, którzy wstrzymują się przed gestem potępienia, nie mówiąc o tych, którzy uznają jego wartość i prawomocność³⁷.

³⁷ Tamże.

Jakkolwiek uwagi te należy uznać za wartościowe, szczególnie że pochodzą od autora o uznanym autorytecie, to jednak nie wychodzą poza ramy zwykłych nowoczesnych polemik. Równie dobrze mogłyby być przeprowadzone z pozycji liberalnych. Liberalowie w każdej opozycji widzą konfederację, a każdą z nich – przeprowadzoną w imię odmiennych od ich wartości – nazywają pierwiastkiem irracjonalnym. Można rzec, że dla nich cała chrześcijańska historia Polski ma taki charakter, chyba że zostanie opisana jako droga do liberalizmu i praw człowieka. Państwo jest wielką wartością, jednak podobnie jak wolność nie jest samą formą życia, ważne, jaka tradycja je wypełnia. Konfederacje reprezentują raczej narodowy imposybilizm, reprezentują bezradność, służą jako wentyl społecznych emocji, po to, by wszystko lub prawie wszystko zostało po staremu, by mocni tego świata mogli dalej zarządzać Polską. W tym sensie rację miał Bartłomiej Sienkiewicz, kiedy mówił, że rządy PiS będą tylko próbą imitacji rządów PO³⁸, ale w bardziej skuteczny – modernizacyjny – sposób, z dodatkiem wzmożenia symbolicznego. Zatem choć prospołeczny zwrot w polityce państwa polskiego za rządów PiS z perspektywy katolickiej nauki społecznej jest warty wsparcia, ponieważ restytuuje elementy sprawiedliwości, to równocześnie trzeba mieć świadomość, że rządzi nim odmienna od oczekiwanej intencja. Głębiej przepracowane zostaną te zasady, które poddadzą się logice pragmatyki władzy – polityka społeczna do nich należy. Nie da się jednak odfajkować konfederacją powołania chrzcielnego, które jest formą naszej wolności, ponieważ jego zadania przekraczają zużywający wszystko utylitaryzm poparcia wyborczego. Być może trzeba dać się zużyć, by przekazać coś dalej.

Zaskakuje, że w tekście *Konfederaci z Soplicowa* uzasadnieniem dla akceptacji słabości naszego życia społecznego jest strach przed kulturową kolonizacją. Karłowicz pisze tak:

Wiem – wielokrotnie o tym pisano. Biadolono. Narzekano. Ileż to ja czytałem narzekań na akcyjność Polaków, na to, że wielcy w obliczu zagrożeń obojętniejemy wobec tego, co polityczne na co dzień itd., itp. Nigdy jednak te rytualne przecież w Polsce jeremiady nie wychodzą poza konkluzję, że trzeba by – bagatela – to wszystko zmienić.

³⁸ *Przetłumaczyliśmy*

300 lat naszej historii.

Z Bartłomiejem

Sienkiewiczem rozmawia

Jarosław Kuisz,

kulturaliberalna.pl,

10.11.2015.

A jak? No tak po prostu zrobić Nowego Polaka. Takiego niemieckiego albo francuskiego najlepiej! Cóż na to można powiedzieć? Brednie i konstrukcjonizm!³⁹

³⁹ D. Karłowicz, tamże.

Ogromnie mnie to zaskakuje! Katolicki autor, pisząc o swoim katolickim kraju, szukając punktów odniesienia dla naszej dysfunkcji, trafia jakby zazdrośnie w niemczyznę i francuszczyznę, a nie utrafia w rzymską katolickość. Czy mamy afirmować własną słabość, bo oddziela nas ona od innych? Sprzeciw wobec być może dobrych wzorców niemieckich i francuskich wydaje się być uzasadniony jedynie granicą romantycznej tożsamości. Tymczasem niemczyzna czy francuszczyzna nie będzie dla nas dobra – raz, bo przychodzi spoza naszej historii, a to ona kształtuje racjonalność formy narodowej, a dwa, że pomija to, co w niej najważniejsze: rzymską katolickość – współpracę Polaków i łaski. Taki sposób horyzontalnych odniesień, pomijający nadprzyrodzoną inspirację i historyczność naszej formy, nadaje polskości nieuchronnie pogański charakter, skąd blisko już do chlubienia się z niesprawiedliwości, która jednak mogłaby być znamię „naszości”. Tymczasem chrzest odsłania przed nami nieczęste blaski wolności polskiej, czyli też nieznośnie nużące chwile teraźniejszości, kiedy Polacy skłaniali się ku temu, by przemoc robaka rozkładu wchodzącego w nas od grzechu, od słabego państwa, od złomnych hierarchów, od bierności lub awantury – wszystko to w naszej historii mieliśmy. A może i mamy, po prostu.

Prymas

Przykładem przełamywania pogańskiego kieratu była przeprowadzona przez Prymasa Stefana Wyszyńskiego, w nie tak dawnych przecież czasach, Wielka Nowenna zamknięta w roku 1966 obchodami 1000-lecia chrztu Polski. Nie była to konfederacja, ale zwrot ku katolickiemu życiu Polaków, ku życiu, do którego zostali powołani. Czy coś zostałoby z tej mobilizacji społecznej, jaką wywołał sam powrót Prymasa Wyszyńskiego z więzienia (czy ktoś w ogóle o niej dziś pamięta?), gdyby nie podjęta potem, trwająca dekadę, praca całego Kościoła? Jak pisze Ewa Czackowska w obszernej biografii duchownego, pojawienie się Prymasa na Miodowej przyciągało tłumy wiernych z całej Polski przez wiele dni. Co więcej,

sam Wyszyński zdecydowanie chłodził atmosferę, namawiał do umiarkowania w reakcjach. Oczywiście, czasy były niebezpieczne, ale tym bardziej jeszcze duch konfederacji wyrwał się do przodu. Czy tak trudno wyobrazić sobie Prymasa Wyszyńskiego jako konfederatę, a polski rok 1956 jak węgierski? Można też przedstawić sobie sytuację, w której świętowanie wolności Prymasa stałoby się krótkotrwałym pocieszeniem – wzmocnieniem politycznej odwagi, demonstracją siły, którą każdy rozsądny polityk potrafiłby przeczekać, by potem powrócić do praktycznego *status quo*. Prymas nie wznosił jednak żadnej chorągwi konfederackiej, ale też nie wznosił sztandaru socjalizmu, widział dla Polaków i Kościoła w Polsce trzecią drogę, która wydawała mu się wierna katolicyści i polskości. Dopiero w tym kontekście warto spojrzeć na gotowość, jaką miał, by spotkać się z Władysławem Gomułą.

„Wyszyńskiego opanowała jakaś szaleńcza idea, mianowicie, że tutaj, w Polsce Ludowej, w okresie Milenium, tej Wielkiej Nowenny, rozstrzygną się losy światowego komunizmu”, mówił w czerwcu 1958 roku Zenon Kliszko odpowiedzialny w partii za politykę wobec Kościoła. Kliszko, pomijając formę wypowiedzi, się nie mylił. Prymas rzeczywiście był przekonany, że Kościół i Polska wchodzi w decydujący moment historii. W tym czasie miało się rozstrzygnąć, czy Polacy będą nadal narodem wierzącym, czy zachowają wzorce kultury zachodniej, które przyjęli tysiąc lat wcześniej wraz z chrztem Mieszka, czy przeciwnie – nastąpi ostateczna akceptacja nowych, radzieckich standardów moralnych wprowadzanych przez ateistyczny komunizm⁴⁰.

Znamienne jest to, że Wyszyński – jak pisał Czackowska – w czasach więziennych rozumiał, że nie ma możliwości rzeczywistego układania się z systemem ateistycznym. Za to konieczna jest aktywna i żywa obecność Kościoła w pełni jego władz duchowych, ponieważ doczesny i nadprzyrodzony komponent duszy polskiej stoi jego siłą⁴¹. Nie chodziło zatem o przejście przez

⁴⁰ E. Czackowska, *Kardynał Wyszyński. Biografia*, Kraków 2013, s. 286.

⁴¹ „Według Prymasa spoiwem narodu, będącego czymś więcej niż tylko zbiorem niezależnych jednostek, z których każda ma swój światopogląd, przemyślenia, punkt widzenia, było po prostu chrześcijaństwo. Nic dziwnego. Skoro i Kościół, i wspólnota narodowa są powołane bezpośrednio przez Boga, to oczywistym wnioskiem, jaki stąd wynika, będzie uznanie, że Kościół jest właściwym przedstawicielem narodu, bardziej pierwotnym, bardziej naturalnym niż państwo. Kościół był kanałem łaski, rozporządzał pochodzącym z góry autorytetem. Kościół niejako ożywia naród, jest źródłem jego energii i mocy – myślę, że ta metafora wiernie oddaje myśl

kardynała Wyszyńskiego”, P. Lisicki, *Dziedzictwo wiary – dziedzictwo narodu. Refleksje nad wizją kultury kardynała Stefana Wyszyńskiego*, „Christianitas”, nr 10/2001-02, s. 31.

Kościół steru politycznego, ale podjęcie formacji, anamnezy, która przypomni wszystkim stanom zasady ich powołania obowiązujące w „nieznośnie długiej terażniejszości”. Ta anamneza – choć różnie możemy ocenić jej ostateczny efekt – pokazała dystans pomiędzy tym, do czego Polska jest powołana, a tym, „co jest życiem we wszystkich wyglądach”. I że nie jest to rozdźwięk między realnym a niemożliwym, lecz rozdźwięk w zdeintegrowanym spojrzeniu na świat i w podwójnych standardach: przyjmowaniu reguł praktycznego ateizmu i antychrześcijańskich zasad w życiu społecznym a deklarowaniu i przeżywaniu siebie jako chrześcijan prywatnie i wewnętrznie. Katolickość, jeśli nie ożywia całości duszy polskiej, staje się coraz bardziej folklorystycznym dodatkiem – i dzieje się to zwykle bez udziału indywidualnej świadomości. Na tym przecież polega zapomnianie. Dopiero w tym zapomnieniu z czasem staje się też narzędziem politycznego uzależnienia katolików od ateistycznych zasad społecznych i politycznych, wciąż opakowanych w strój polskiej cywilizacji. Przywołajmy raz jeszcze cele Wielkiej Nowenny sformułowane przez samego Prymasa:

Musimy zerwać z tym swoistym „laicyzmem narodowej katolickości”, w której wszystko na zewnątrz w słowach i gestach jest katolickie, tylko w sercach i umysłach jest piekło dantejskie. Trzeba przekonać katolików polskich, że siła Kościoła naszego zależy od siły duchowej wiernych żyjących w łasce uświęcającej; że o tyle dziś bronimy Kościoła, o ile bronimy w duszy łaski; o tyle umacniamy Kościół, o ile sami jesteśmy silni w wierze i poddani łasce⁴².

Słowa te pozostają aktualne, ale patrząc na życie społeczne 1050 lat po chrzcie Mieszka, wiele jest do zrobienia już także w tym, co na zewnątrz. Jak można żyć w spokoju łaski⁴³, gdy jako prawo obowiązują jawne niesprawiedliwości, a zmiana tego stanu nie jest priorytetem rządzących?

Rok 1050 w praktyce

Jak wyglądała w Polsce 1050 rocznica chrztu Mieszka, który dał początek polskiemu powołaniu do bycia narodem chrześcijań-

⁴² Tamże, s. 287.

⁴³ „*Da nobis, quaesumus,*

Domine: ut et mundi

cursus pacifice nobis tuo

ordinedirigatur; et Ecclesia

tua tranquilladevotione

laetetur. / Spraw, prosimy

Cię, Panie, niechaj

z rządzenia Twego bieg

wypadków dla nas

się toczy spokojnie,

a Kościół Twój niechaj

Ci służy w niezmałonej

radości”, modli się Kościół

w kolekcie na IV niedzielę

po Zesłaniu Ducha

Świętego.

skim? Mam wrażenie, że kwiecień – najprawdopodobniej będący bezpośrednim miesiącem rocznicowym – przeszedł zupełnie obok tego wydarzenia. Prawo i Sprawiedliwość, partia, która wygrała na jesieni 2015 roku wybory głosami katolików, konserwatystów i ludzi wykluczonych ekonomicznie, startując pod hasłami jednoczenia wspólnoty narodowej, właśnie wtedy doprowadziła do apogeum emocje organizujące się wokół sporu o Trybunał Konstytucyjny. Jakie dobro z tego wyniknęło? Przez moment mogło się wydawać, że oto w katolickiej Polsce nastały rządy jakobińskie. Emocje przysłoniły nie tylko sensowne i oczekiwane reformy rządu Beaty Szydło, jak wchodzący w życie projekt prorodzinny i prodemograficzny „Rodzina 500+”, projekt mieszkaniowy itd., ale także rocznicę naszego początku będącego źródłem tego, co czyni dzieje Polaków sensownymi. Do dziś nie wiadomo, czemu te podziały miały służyć – nie posłużyły rządowi i nie posłużyły Polsce. Przekroczenie prawa, jakie miało miejsce za czasów rządów Platformy Obywatelskiej, polegające na nielegalnym wyborze dwóch sędziów Trybunału, można było unieszkodliwić w znacznie mniej kosztowny sposób niż przez niszczenie instytucji państwa. Mówili o tym nie tylko przedstawiciele opozycji, ale także politycy prawicy, choćby Marek Jurek i Michał Kazimierz Ujazdowski.

Zgromadzenie Narodowe, które zebrało się w Poznaniu 15 kwietnia 2016 roku, było wręcz symbolem chorób, których nie zaleczyliśmy, a które rozjątrzyła jeszcze władza uważająca siebie za nadzieję narodowej godności. Opozycja nie klaskała prezydentowi po jubileuszowym orędlu, a poseł Nowoczesnej Krzysztof Mieszkowski, dyrektor Teatru Polskiego we Wrocławiu, określił je mianem „deklaracji państwa wyznaniowego”⁴⁴. Tymczasem w orędlu Prezydenta Andrzeja Dudy trudno było znaleźć jakiegokolwiek deklarację poza wspomnianiem chrześcijańskiej historii naszego kraju. Było ono bardzo dobrym przykładem praktycznego działania tego, co Paweł Grad nazywa „konserwatyzmem nihilistycznym”, który zresztą jest charakterystyczny dla całego obozu Prawa i Sprawiedliwości. Nie chodzi bowiem o żadną tradycję polską, ale właśnie o historię – narracyjny artefakt mniej lub bardziej oderwany od teraźniejszych zobowiązań, zawsze uległy wobec naszej woli i naszej fantazji.

⁴⁴ „Nie mam żadnej wątpliwości, że prezydent Andrzej Duda wygłosił homilię, nie orędzie. Mielśmy deklarację państwa wyznaniowego i w przestrzeni tej mowy nie ma miejsca dla ludzi o innych poglądach niż katolickie i chrześcijańskie. Jestem w pewnym sensie zbulwersowany tym wystąpieniem”, *Opozycja ostro o słowach Dudy*. „Deklaracja państwa wyznaniowego”, wprost.pl, 15.04.2016.

Dawność jest tu kategorią estetyczną; odnosi się do tego, co imponuje i nadaje majestatu, nadając rodowód autonomicznemu i wolnemu człowiekowi nowoczesnemu. Jest to ujęcie czysto funkcjonalistyczne: tradycja zostaje przyjęta nie ze względu na treść dziedzictwa, lecz ze względu na swoją temporalną formę (dawność). Forma ta pełni doniosłą funkcję w systemie społecznym, ponieważ stabilizuje i zabezpiecza zachowanie porządku politycznego. [...] Nie chodzi tutaj rzecz jasna o publicystyczną obelgę, tylko o filozoficzne pojęcie. Przez nihilizm rozumiem (dość klasycznie) pogląd, zgodnie z którym nie istnieje rzeczowe (metafizyczne) uzasadnienie istniejącego i akceptowanego porządku rzeczy; porządek ten niejako dźwiga się sam z nicości, unosi się sam ponad miejscem, które powinna zajmować jego podstawa⁴⁵.

⁴⁵ P. Grad, *O pojęciu tradycji. Studium krytyczne kultury pamięci*, książka ma się ukazać na jesieni 2016 r. w serii wydawniczej kwartalnika „Kronos”, pod patronatem „Christianitas”.

Przebudzenie

Przynajmniej dwa rodzaje chorób nihilistycznych reprezentowanych przez nowoczesność i konserwatyzm – znanych już przecież wcześniej – mogłyby być przedmiotem pracy w ramach czegoś, co dziś już tylko retrospektywnie możemy nazwać „Nową Wielką Nowenną”. Czy jednak tylko retrospektywnie? Pytanie o to, co zrobiliśmy ze swoim chrztem, można postawić w każdej chwili. Podobnie jak pytanie, czy katolicyzm nie jest dla nas tylko zestawem rekwizytów lub prywatną indywidualistyczną pociechą, duchowością festiwalu i stadionu. Co z niej zostaje, gdy zgasną światła i rozmontuje się sceny? To jest to pytanie dla nas – co zrobimy z nieznosnie długą teraźniejszością, która jest czasoprzestrzenią łaski. Dwa oszustwa nowoczesności – postępu i konserwatyzmu można rozplątywać już od dzisiaj, ale trzeba zrozumieć, gdzie jest szczyt i źródło życia chrześcijańskiego, a potem jakie są nasze powinności społeczne: prywatne i publiczne. Do tego jednak niezbędny jest Kościół, który musi się przebudzić ze snu „wielkiego uderzenia”, „planów duszpasterskich”, „jeszcze nowszej ewangelizacji”, przebudzić się do swojego życia i zmierzać do wyznaczonej mety, nie zaniedbując niczego. ■